

Wojenna dola naszych koni

Biedne były nasze konie w tych pamiętnych dniach Września 1939 r. Zapowiedzią trudów, jakie je czekały był forsowny marsz z okolic Gorazdowa przez Konin – Tuliszków do Uniejowa, gdzie pod ogniem artylerii i bombardowaniem lotniczym przeprawialiśmy się przez Wartę. Trasa wynosiła ponad 100 kilometrów. Pokonaliśmy ją w ciągu 19 godzin. Na przemian kłusem i stępem przy koniu. Tym razem to my zmęczyliśmy się bardziej od naszych koni. Marszem pieszym i wielokrotnym dosiadaniami.

Prawdziwe niewygody zaczęły się po wkroczeniu na Ziemię Łęczycką. W centrum walk toczonych przez 100 tysięczną Armię „Poznań” gen. Tadeusz Kutrzeby, w skład której wchodziła Wielkopolska Brygada Kawalerii, a więc i nasz 15 Pułk Ułanów. Nasze postoje przerywane były najczęściej nagłym alarmowym odejściem. Wówczas w ciemności i pośpiechu szczególnie ważne było staranne ułożenie czapraka pod siodłem. Krótkotrwałe postoje nie zezwalały nawet na popuszczenie popręgów. Toteż zaczęły pojawiać się odparzenia grzbietów końskich i ... naszych nóg, bo i my butów nie zdejmowaliśmy.

Biedne były nasze konie, pozostawiane z koniowodnymi, gdy my pieszo szliśmy do walki, a na nie spadał ogień artyleryjski. My mieliśmy margines swobody ruchu. One musiały niezawodnie czekać na nas w miejscu i pokonać emocje powodowane hukiem rozrywających się pocisków. A w wypadku otrzymanej rany? Nie było w tej wojnie końskich lazaretów polowych.

Z czasem, pomimo ofiarnej pracy służb zaopatrzeniowych, zaczął się pojawiać głód. Radziliśmy sobie jak komu wypadło. W mijanych sadach wyjątkowo wspaniale obrodziły jabłonie i śliwy. Skubnęło się coś po drodze nie gardząc korą, gdy wypadł krótki postój w jakimś lasku. Daleko gorzej było z pragnieniem, gdyż napotykanne studnie coraz częściej były już puste.

W tych warunkach, naszym towarzyszom wojennej doli zaczęły zapadać boki, a chód stawał się coraz bardziej powolny i ociężały. Nasze wierne kochane konie. Współuczestniczyły w naszych zwycięskich potyczkach, ratowały nieraz w różnych niebezpiecznych sytuacjach. A teraz my zaczęliśmy zadawać im rany. Kaleczyliśmy koniom boki ostrogami, wymuszając w ten sposób kontynuowanie marszu przez bezdroża Puszczy Kampinoskiej. Na puszcę niemiecka artyleria kładła ogień ciągły nękający. Skrzyżowania dróg i dukty obsadzał nieprzyjaciół, wciągając nas w kolejne bitwy na drodze do Warszawy. Ułani poznańscy, jak pozostałe pułki Wielkopolskiej Brygady Kawalerii, tak wspaniale dowodzonej przez gen. Romana Abrahama, postawione im zadanie wykonali. Ale i cena była ogromna. Opuszczając poznańskie koszary, stan koni pułku wynosił osiemset pięćdziesiąt. Teraz w Warszawie było ich trzysta osiemdziesiąt. Straciliśmy czterysta siedemdziesiąt koni.

W warszawskim Parku Łazienkowskim doczekały się nasze konie pierwszego odpoczynku, podczas gdy my pieszo chodziliśmy na linię ognia na ul. Klonową i Fort Mokotowski. W parku rosła jeszcze trawa i kwiaty, a drzewa dawały nieco osłony. Ze stołecznych magazynów otrzymaliśmy nieco furażu. Ale i teraz, codzienne naloty bombowe i ostrzał ciężkiej artylerii, nadal powodowały straty.

W powietrzu unosił się zapach spalenizny. Na jezdniach i chodnikach leżały pozabijane konie, obok prowizorycznych mogił żołnierzy. W kuchniach polowych gotowano kaszę z końskim mięsem. Wówczas cała Warszawa jadła koninę.

Z ciężkim sercem opuszczaliśmy okaleczoną stolicę. I konie nasze jakby posmutniały. Ułani dzielili się ze swymi końmi cukrem podjętym z rozbitego magazynu na Bagateli. Ktoś klepał czule swego towarzysza po szyi. Ktoś głąskał po chrapach, w podzięcie za wierną służbę.

Ktoś mówił coś do swego konia. Może tłumaczył mu, że nadchodzi czas rozstania, może chciał powiedzieć, że to kończy się ostatni rozdział starej epoki. I zastanawiał się co nowy czas przyniesie.

Poznań, 1988 r.